



8 listopada 2022

Program pomocy dla gmin popegeerowskich. Realne wsparcie czy fundusz dla „swoich”?

Rząd dwukrotnie uruchamiał fundusze na pomoc gminom popegeerowskim. W 2021 r. rozdysponowano 300 mln złotych. Rok później, w ramach Programu Inwestycji Strategicznych, około 4 miliardy złotych, z czego dla gmin przeznaczono 3,3 miliarda. Gdzie trafiły pieniądze z tej drugiej puli i czy zostały wydane zgodnie z przeznaczeniem? Niepokojących odpowiedzi dostarcza [analiza prof. Pawła Swianiewicza „Program Inwestycji Strategicznych dla terenów popegeerowskich: realne czy pozorne wsparcie?”](#). To kolejne potwierdzenie metody działania władzy centralnej, która programy pomocy samorządom wykorzystuje częściowo do celów partyjnych.



Komu pomóc?

Co oznacza gmina popegeerowska? Swianiewicz przyjmuje definicję, zgodnie z którą to taka, gdzie co najmniej 1/3 użytków rolnych zajmowały uspołecznione gospodarstwa rolne. W programie rządowym warunki uprawniające do aplikowania o pieniądze były jednak znacznie mniej restrykcyjne. W rezultacie środki często nie trafiały do gmin, w których PGR-y faktycznie stanowiły podstawę lokalnej gospodarki i ważne miejsce zatrudnienia.

Autor zaznacza wyraźnie, że wśród gmin popegeerowskich odsetek tych, które otrzymały wsparcie, jest wyższy niż pozostałych. Średnia dotacja „na głowę” mieszkańca także. Z tej jednak racji, że gmin niepopegeerowskich skorzystało z programu znacznie więcej, łącznie to one otrzymały większość wszystkich środków!

Do gmin popegeerowskich – zdefiniowanych jak wyżej – trafiło bowiem jedynie 40 proc. dotacji przyznanych samorządom gminnym. „Pozostałe 60 proc. trafiło do samorządów, w których udział PGR-ów był niewielki, lub nawet minimalny”, pisze autor. Ponad 20 gmin otrzymało środki z tego programu, mimo że udział PGR-ów w strukturze gruntów rolnych na ich terenach wynosił mniej niż 1 procent. Liczący ponad 60 tys. mieszkańców Mielec otrzymał z tej puli środków prawie 5 milionów złotych.

Premier Mateusz Morawiecki zapowiadał, że wsparcie trafi przede wszystkim do gmin niewielkich i niezamożnych. Analiza Swianiewicza potwierdza, że tak w istocie się stało. Małe gminy (do 5,7 tys. mieszkańców) otrzymywały per capita dotację kilkukrotnie wyższą niż gminy duże (powyżej 11,5 tys. mieszkańców), a gminy ubogie (o dochodach do 3,15 tys. złotych na mieszkańca) dotacje przeciętnie dwukrotnie wyższe niż gminy najbardziej zamożne (powyżej 3,5 tys. złotych na mieszkańca).

Pieniądze dla „swoich”?

Czy to oznacza, że pieniądze były rozdzielane właśnie w oparciu o ten klucz, z pominięciem kalkulacji politycznych? Swianiewicz dowodzi, że taki wniosek nie jest uprawniony. Wychodzi od zwrócenia uwagi na fakt, że większość gmin z niegdyś wysokim udziałem PGR-ów w strukturze gospodarstw rolnych leży na tzw. Ziemiach Odzyskanych, na zachodzie i północnym wschodzie kraju, gdzie poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości jest niższe niż w części wschodniej i na południu Polski. „Wśród ponad 600 gmin, w których grunty PGR stanowiły ponad 1/3 użytków rolnych, znajdujemy zaledwie nieco ponad 20 takich, w których wójt związany jest z PiS”, pisze autor. Wydaje się więc, że omawiany program z definicji skierowany był do podmiotów zarządzanych przez władarzy niezwiązanych z partią rządzącą, a zatem niepodatny na nadużycia wynikające z preferencyjnego traktowania sojuszników politycznych rządu.

Niestety, fakty przeczą takiej tezie. W gminach, w których PGR-y zajmowały ponad połowę użytków rolnych „szansa na otrzymanie dotacji w gminie z wójtem związanym z PiS wynosiła ponad 90 proc., a w gminie związanej z wójtem z jednej z partii opozycyjnych spadała do około 65 proc.”, pisze Swianiewicz. Sytuacja powtarza się także w gminach, w których PGR-y stanowiły co najmniej 1/3 powierzchni użytków rolnych. Ale skalę problemu lepiej ukazuje przeciętna wysokość uzyskanej dotacji w przeliczeniu na mieszkańca. Dla gmin „z wójtem z PiS jest około czterokrotnie (!) wyższa od wartości dla gmin mających wójta z PSL lub PO”.

Oczywiście, można argumentować, że wynika to z oficjalnie zadeklarowanych celów programu, który, przypomnijmy, miał trafić przede wszystkim do gmin mniejszych i uboższych. Niewykluczone przecież, że takie gminy są po prostu częściej zarządzane przez osoby związane z PiS.

Ale nawet po uwzględnieniu tego czynnika – czyli przy porównaniu wyłącznie gmin mniejszych i biedniejszych – efekt preferencji politycznych jest widoczny. Zwłaszcza w przypadku gmin najuboższych, gdzie „dotacje otrzymywane przez gminy z wójtami związanymi z PiS są nadal ponad dwukrotnie wyższe od tych, które otrzymują gminy z wójtami z PSL czy PO”.

Wnioski?

Po pierwsze, w programie skierowanym do gmin popegeerowskich większość z ponad 3 miliardów złotych trafiła do gmin, w których udział Państwowych Gospodarstw Rolnych w całości gruntów rolnych był niewielki.

Po drugie, chociaż pieniądze zgodnie z zapowiedziami zostały skierowane do gmin biedniejszych i niewielkich, to jednocześnie nieproporcjonalnie skorzystały na nim jednostki zarządzane przez władarzy związanych z partią rządzącą. Nie jest to pierwszy tego typu przypadek, ale – jak wskazują [analizy innych programów rządowych publikowane przez Fundację im. Stefana Batorego](#) – powtarzające się zjawisko.

Jest to jeden z powodów – i to **po trzecie** – dla których „programy dotacji przyznawanych samorządom przez rząd to nie jest sprzyjający samorządności model finansowania”, pisze prof. Swianiewicz. I przekonuje, że lepszym

rozwiązaniem byłoby wprowadzenie regulacji poszerzających bazę dochodów własnych samorządów oraz pozostawienie lokalnym władzom decyzji dotyczących priorytetów rozwojowych.

W obecnym modelu „to na poziomie centralnym definiuje się rozwiązywanie jakich problemów zasługuje na wsparcie, a potem decyzja o akceptacji (...) wniosków zależy od mało transparentnych decyzji podejmowanych przez urzędników i polityków rządowych”. Taki model nie tylko jest nazbyt sztywny i oderwany od lokalnej specyfiki, ale po raz kolejny widać, że w nieproporcjonalnym stopniu służy wspieraniu „swoich”.

NA RADARZE

Lex Czarnek 2.0: budowa zasieków między szkołą a światem



Niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na negatywne skutki zmian w prawie oświatowym, jakie chce wprowadzić Minister Edukacji i Nauki, Przemysław Czarnek. Ale projekt znany pod nazwą „lex Czarnek”, już raz zawetowany przez Andrzeja Dudę, powraca w nieco tylko zmienionej formie. I znów wywołuje kontrowersje. W natłoku informacji można zagubić się w doniesieniach na temat jego konsekwencji – zwłaszcza dla współpracy szkół z organizacjami pozarządowymi.

Dlaczego ta współpraca jest tak istotna w działalności wszystkich placówek edukacyjnych i w jaki sposób zostałaby storpedowana nowymi regulacjami tłumaczy Alicja Pacewicz. Współzałożycielka Centrum Edukacji Obywatelskiej i jedna z inicjatorek akcji „Wolna Szkoła” [w podcaście Fundacji im. Stefana Batorego](#) krok po kroku wykazuje, że nowe przepisy – wbrew obietnicom – nie oddają większej kontroli rodzicom, lecz władzy centralnej. I że tworząc „zasieki” pomiędzy szkołami a światem zewnętrznym, doprowadzą do paraliżu ich działalności.

Jakiej odbudowy potrzebuje Ukraina?



Końca wywołanej przez Rosję wojny w Ukrainie wciąż nie widać, a straty spowodowane przez rosyjskie naloty na infrastrukturę cywilną rosną z dnia na dzień. Mimo to sojusznicy Kijowa już dziś wspólnie z władzami Ukrainy muszą przygotowywać plan odbudowy kraju. Niestety, propozycjom pomocy zapowiadanym m.in. przez przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen brakuje konkretów.

Podczas zorganizowanej w Berlinie pod koniec października konferencji szefowa KE przypominała o wcześniej ogłoszonym zamiarze wydzielania 18 mld euro na pomoc w nadchodzącym roku i „powołanie międzynarodowej platformy mającej za zadanie skoordynować proces odbudowy”, pisze Filip Rudnik w notatce na bloguldei pt. [„Berlińska debata o odbudowie – przelewanie z pustego w próżne?”](#).

Problem w tym, że „kształt zapowiedzianej przez von der Leyen instytucji jest wciąż dość mglisty”. Po części niedobór konkretów wynika z faktu, że ostateczna wielkość zniszczeń, a co za tym idzie, potrzeb pozostaje nieznana. A po części z niezdecydowania wśród polityków zachodnich i sporów wśród samych Ukraińców. Rudnik opisuje potencjalne zagrożenia – na przykład pominięcie w całym procesie przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego oraz, co się z tym wiąże, niebezpieczeństwo korupcji. I podkreśla, że tak jak do tej pory wszelką pomoc na rzecz Kijowa należy przedstawiać nie w kategoriach daniny, ale także inwestycji, która jest moralnie słuszna, a ponadto na dłuższą metę państwom zachodnim bardzo się opłaci.